

Felietony

„Trzech byłych wiceprezesów PiS zwróciło się do mnie z prośbą, by mogli zająć w Sejmie miejsca w ostatnim rządzie. Przychyliłem się do tej prośby”

CYTAT DNIA, Przemysław Gosiewski, szef klubu parlamentarnego PiS

Trzy zabobony

Polską piłką nożną – tak jak prawie wszystkimi dziedzinami życia – rządzą zabobony, jest ich bez liku; w chwili obecnej trzy dominują. Pierwszy zabobon dotyczy kibiców; wierzą oni mianowicie, a raczej po zwyczajnych eliminacjach do mistrzostw Europy nabrali absolutnej i bezkrytycznej wiary we wszechmoc Leo Beenhakera. Wybitnemu temu i charakterystycznemu trenerowi z typową nadwiślańską nadmiernością przydano nieziemskiej omnipotencji, porusza się on obecnie w aurze świętości. Facet na początku eliminacji obiecał awans do finałów, po czym obietnicy dotrzymał.

Dotrzymywanie obietnic w życiu publicznym dalej jest u nas całkowitym wyjątkiem, dotrzymywanie obietnic w sporcie ergo wygrywanie dalej jest cudem. Obecnie nie ma pytań: czy wygramy z Niemcami, czy pokonamy Chorwatów i czy rozgromimy Austriaków – jest ciekawość, jak to uczynimy. Nie ma kwestii zwycięstwa – jest kwestia metod zwycięstwa. Metody te w wydaniu holender-

skiego magika są absolutnie pewne – są wszak nadprzyrodzone.

Zdaniem szerokich kibicowskich mas nie tylko grupowych przeciwników (być może z którymś z nich dla ekstrawagancji albo dla wzmoczenia emocji pozwolimy sobie na zwycięski remis) zostawimy w polu, ale też dalszy ciąg – ćwierćfinał, półfinał i finał – wygramy; omnipotencja cudotwórcy jest w końcu – jak przystało omnipotencji cudotwórcy – nieskończona.

Jakby nie wszystko się udało, jakbyśmy – nie daj Boże – nie zostali mistrzem, a tylko wicemistrzem Europy, albo jakbyśmy na skutek jakichś kataklizmów (np. ulewnego deszczu sprowadzonego nad boisko przez szamanów wroga) zdobyli zaledwie brązowy medal – nic to! Rychło, bo już jesienią, rozpoczynają się eliminacje mistrzostw świata, boski Leo i do nich nas poprowadzi; ewentualne, co mówię: ewentualne, pewne w nich zwycięstwo, a następnie wygrana całego mundialu da asumpt do podtrzymujących Jego cudotwórczość twierdzeń, iż mianowicie celem zdobycia mistrzostwa świata oszczędzał On drużynę na mistrzostwach Europy, umyślnie zatajając jej wszystkie możliwości.

Nie trzeba dodawać, że mechanizm taki jest do powielania – w razie, jakbyśmy nie zdobyli mistrzostwa świata, a tylko wice albo trzecie miejsce, rychło po mundialu zaczynają się eliminacje do Euro 2012; wstępnyymi tymi grami jako gospodarz nie musimy się trudzić, wszystkie zachody poświęcone zostaną szykowaniu się do centralnej wygranej w Kijowie itd. itp.

Zdaje mi się, że wystarczająco wyrażnie – by nie tracić czasu na jego dalsze obalanie – zabobon wszechmocy selekcyjnego kadry narodowej przedstawiłem.

Zabobon drugi jest poważniejszy, dotyczy polskich trenerów i polega na ich hi-

sterycznie rosnącym przeświadczeniu, że im Beenhakker wyżej, tym oni niżej. Im bardziej sławi się zasługi i cuda Holendra, tym bardziej o umiejętnościach, zasługach i możliwościach polskich szkoleniowców się zapomina. Faktycznie owczy pęd i takież zachwyt dla boskiego Leo może sprawiać kłopotliwe wrażenie, ale owece odruchy to jest specyfika roznamietnionych kibiców – nie powinni mieć z takimi zjawiskami problemu starzy wy-

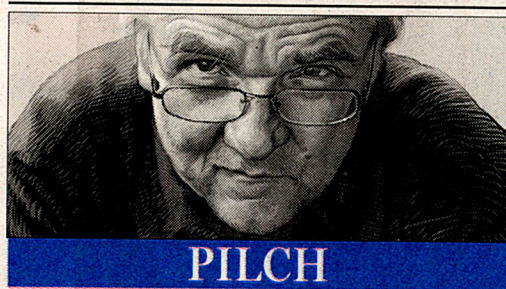
prawdę powiadam wam: dystans kulturowy, jeśli go właściwie użyć, może być potężnym instrumentem.

Poza tym: czy np. Jacek Gmoch, gdy odnosił sukcesy w Grecji – a jest tam postacią do dziś szanowaną i podziwianą – był ulubieńcem greckich szkoleniowców? Jak był, to istotnie ich profesjonalizm potrzebował cudzoziemskiego wsparcia. Czy prowadzący egzotyczne chińskie drużyny do ważnych zwycięstw

Andrzej Strelau był faworytem przywiązanych do konfucjańskiej taktyki starych chińskich trenerów? Jeśli uśmiechali się doń owi mandaryni, był to – zapewniam was – wysoce grzecznościowy uśmiech człowieka Wschodu. Czy wygrywający w Afryce wszystkie mistrzostwa i puchary Henryk Kasperczak był czczony przez czarnoskórych kolegów po fachu? Nawet jak był, to raczej nie był, albowiem fach trenera wśród rdzennych mieszkańców Czarnego Łądu nie bardzo się przyjął.

Warto też pamiętać, iż stworzone przez sukcesy Legii i Górnika podwaliny ubiegłowiecznych tryumfów polskiej piłki sprawili w tych klubach odpowiednio Czech Vejvoda i Węgier Kalocsay. Z Układu Warszawskiego, bo z Układu Warszawskiego, ale jednak cudzoziemcy polską piłkę uruchomili.

(Kto takich rzeczy nie pamięta, a niestety nie pamiętają coraz liczniejsi, ma wymarzoną okazję, by się upewnić: właśnie Stefan Szczepłek wydał – nakładem „Rzeczpospolitej” – swoją dwutomową historię futbolu i ta z jednej strony kronika, z drugiej encyklopedia, z trzeciej autobiografia jest absolutnie nie do omińnięcia. Można powiedzieć, że tak jak pracowicie dokumentujący futbol Andrzej Gowarzewski jest Estreicherem piłki nożnej, tak Szczepłek jest jej Sienkiewiczem – dał w każdym razie intensywną opowieść pełną rozmaitych barw, smaków, szczegółów, postaci, pojedynków i



PILCH

jadacze, co z niejednego, też cudzoziemskiego, trenerskiego pieca chleb jedli.

Jest rzeczą oczywistą, że najwybitniejsi polscy trenerzy na kres mitu Beenhakera, na kres jego rzekomej wszechmocy, na jego skuchę czekają jak nikt. Jak są profesjonalistami, to rywalowi swemu życzą jak najgorzej. Prawdziwy zawodowiec nie zna wielkoduszności. Ale prawdziwy zawodowiec umie maskować swoją małostkowość. Z tym bywa – delikatnie mówiąc – różnie.

Najwybitniejsi polscy trenerzy pracowali i odnosili sukcesy za granicą i doskonale wiedzą, jakim atutem jest cudzoziemskość. Nauczyciel, trener, mistrz z obcego kraju zawsze robi większe wrażenie, często jest skuteczniejszy. Jeśli w Leo jest jakaś czarodziejskość, to jest nią niewątpliwie wielce znaczący fakt, że nie obrzuca on naszych grajków na treningu swojskimi kłatwami, a czyni to za pomocą angielskich – podobno w desperacji holenderskich – ekwiwalentów. Za-

potyczek, pełną soczystych opisów kunsztu, a też fraz niezapomnianych – np. o Lubańskim: „Osoby znające Włodka bliżej mówią, że nie znają nikogo, kto mógłby powiedzieć, że Włodek postawił mu kawę”. Dobrze? Niezłe. Też, a może zwłaszcza, konstrukcyjnie. A takich pereł są tu dziesiątki, jak nie setki. Na razie jedynie ukazanie się szczepłkowego dzieła sygnalizuję – niechybnie niejedną raz doń wrócę).

Wracając zaś do wątku głównego, tak go podsumuję: cudzoziemskość Beenhakera nie jest wymierzona przeciwko polskim szkoleniowcom, choć zarazem w sposób nieubłagany i nieunikniony – jest przeciw nim wymierzona. Drugi zabobon – słowem – jest (nawet jak na zabobon) zapętłony i nie do rozwikłania. Nie tylko pod względem psychologicznym.

Trzecie gusło wiąże się z pierwszym i ma siłę bezmyślnie i na okrągło klepanego frazesu. Otóż raz po raz słychać, że siła Beenhakera polega i na tym, że mianowicie z przeciętnych graczy stworzył silny zespół. Jest to brednia. Kompleks na dodatek typowo ojczysty: mania wielkości łączy się z poczuciem niższości.

Jedenastu przeciętniaków nigdy nie osiągnie ponadprzeciętności, co najwyżej na odwrót. Eliminacje nie tworzą wielkości piłkarskich – tworzą takie wielkości turnieje. Nawet bardzo wybitny zawodnik, jeśli gra tylko w eliminacjach, a w turnieju np. z racji pechowej kontuzji już nie – przypadek właśnie Lubańskiego – gwiazda jego gaśnie. Choćby w książce Szczepłka można prześledzić, jaką rangę mieli niektórzy gracze przed, jaką po turniejach. Grzegorz Lato z maja '74 i Grzegorz Lato z czerwca '74 to są dwaj całkowicie różni skrzydłowi.

Turnieje są dla tych, co mają rozbłysnąć. Leo nie zebrał gromady pracowitych miernot, co woła walki nadrabiają braki – zebrał i zbiera graczy, którzy mają szansę błysnąć, a nawet załsnąć. Kiedy? Jak to kiedy? W czerwcu. Jak będziemy zdobywać mistrzostwo Europy.